

## **Do Komisji Wypraw Wysokogórskich Polskiego Związku Alpinizmu**

Sprawozdanie z wyjazdu alpejskiego zespołu w składzie: Jarosław Dudzik i Maciej Dziedzic w okresie lipiec –sierpień 2011.

Myśl o powrocie na ściany alpejskie okolic Chamonix od samego początku elektryzowała mnie, wzbudzając zarówno niepokój jak i podniecenie. Moje obawy były wynikiem przykrego wypadku z przed dwóch lat, który bardzo szczęśliwie zakończył się jedynie kilkoma szwami i zerwaniem torebki stawowej. Nie obyło się jednak bez pomocy „śmigła”, a cała przygoda uświadomiła mi kolejny raz jakie ryzyko niesie wspinanie w górach. Jednak niezatarte wspomnienia ze wspinania we wspaniałej jakości granicie po idealnych rysach, nakazywało wrócić pod ściany masywu Blanca jeszcze raz...

Celem naszej wyprawy było przejście kilku linii na Grand Capucin (GC), w tym kilku klasyków czyli *Le voyage selon Gulliver* oraz Dirretisimy ściany. Plan wyjazdu zakładał również odwiedzenie Wilder Kaiser w austriackim tyrolu, jednak priorytetem było wspinanie na GC. Od samego początku wiedzieliśmy również iż nasze plany będą uzależnione od ekip Big Wall Project, gdyż spoczęło na mnie uwiecznienie na „kliszach” zamagania Konrada i Marcina na *Voie Petit* –najtrudniejszej lini masywu Mt. Blanc.

Wyjazd rozpoczęliśmy z drugim tygodniem lipca. Oczekując optymistycznych wieści pogodowych z Chamonix, decydujemy się wyruszyć z Polski i przeczekać gdzieś w szeroko pojmowanym pobliżu fatalną pogodę, która nawiedziła na dobre alpy Chamonix. Zatrzymujemy się w Szwajcarii, w rozpoznanym dawniej Interlaken, gdzie blisko przez tydzień wspinamy się w pobliskich rejonach skałkowych. Kolejne dni oczekiwania na pogodę, obsesyjne sprawdzanie prognoz i wmawianie sobie przy wieczornych posiadkach, że mamy czas. Kapryśna pogoda nie pozwala nam dłużej pozostać w Interlaken. Oddalając się odrobinę od destynacji trafiamy do Valle Maggio w Ticino. Jest to jedno z piękniejszych miejsc w Europie jakie do tej pory widziałem, a wspinanie w Pontebroli czy w Chevio musi się podobać. Pare dni spędzonych we włoskim kantonie Szwajcarii uzmysławia jak bardzo natura była niesprawiedliwa obdarzając tak mały kraj takim bogactwem skalnym i nie tylko.

Pogoda w Chamonix znacząco się poprawia. Izoterma 0 na 3800 brzmi na tyle zachęcająco aby przekonać nas do wyjazdu ze Szwajcarii. 29 lipca późnym wieczorem trafiamy do Chamonix. Następnego wieczora jesteśmy rozbici pod Cosmiquiem. Przed nami 3 dni wspinania.

Pierwszy dzień dość dyrastycznie odsłania brak doświadczenia i aklimatyzacji. Pod ściane trafiamy za późno, a na dodatek nie orientujemy się jeszcze w topografii góry. Zaczynamy od podstawy ściany pierwszymi trzema wyciągami z *L'Élixir d'Astaroth*, z zamiarem wbicia się w upatrzone „Podróże Gulivera”, startujące z górnych półek. Jednak na następnym wyciągu trudności nie zgadzają się ze schematem, a stanowisko jest przesunięte nieco w lewo. Pomimo zapewnień francuskiego zespołu przed nami, że to nasza linia, nabieram pewnych wątpliwości. Po następnym krótkim wyciągu już wiem, że zniosło nas na inną drogę. Nie dotykając „Podróży Gulivera” lekko podirytowani zbyt ogólnikowym wyrysowaniem Pioli lini drogi decydujemy się na wycof. Z tego dnia zapamiętałem 3 rzeczy : obrywy lodu

notorycznie bombardujące wspinaczy, blask granitu o niespotkanym do tej pory pomarańczowym odcieniu i nieprzyjemne monotonne podejście w drodze powrotnej.



Grand Capucin (fot. M. Dziedzic)



Wspaniałe satelity Tacqula (fot. M. Dziedzic)

Następnego dnia w czwórce nie jesteśmy w stanie się wspinać. Niezaaklimatyzowani decydujemy się restować. Przez cały dzień przyglądamy się z zaciekawieniem przedstawieniu jakie ma miejsce pod ścianą Aguille di Midi. Tłumy ludzi przewalają się przez przełęcz związani liną dreptający dookoła przełęczy. Jest tłoczno, a klimat raczej skłania do tego aby następnym razem zainstalować się pod ścianą GC.

Po reście wspinaemy się na ścianie Aguill di Midi. Rozpoczynamy z zamiarem przejścia *Ballade pour Aurélia* (7a). Okazuje się, że droga ma bardzo trudne i mokre miejsce na drugim wyciągu. Po paru wstawkach trikowe wyjście z nad okapu nie puszcza. Poza tym obserwujemy kolejny raz, że schemat Pioli nie odpowiada rzeczywistości. Jest to efekt obniżenia się lodowca o dobrych 8 metrów. Większość dróg zaczyna się niżej. Konsekwencje takiej kosmetycznej zmiany dla wspinaczy mogą być dość przykre, gdyż może zabraknąć liny na pierwszym wyciągu (tak właśnie przytrafiło się nam). Fatum będzie towarzyszyć nam praktycznie do końca wspinaczki. Na 3 wyciągu widzimy że wspólny odcinek z popularnym Rebufatem jest szczelnie okupowany przez inne zespoły. Nonszalancko decyduję się na wariant obejściowy trawersując po czujnym terenie do *Ma Dalton*. Przedemną słynny offwide za 7a. Dochodzę rysą jakieś 12 metrów i kiedy niebezpiecznie się „otwiera” orientuje się, że największy firend o rozmiarze 3,5 został sporo pode mną. Coraz bardziej wybiera klinowanie ramienia w wilgotnej przerysie, a do pierwszego spita jakieś 8 metrów. Wystraszony brakiem sprzętu odpuszczam i schodzę rysą wypinając friendly. Po pouczającym wycofie wracamy na linie drogi i przebiegamy łatwe i przepiękne wyciągi z Rebuffata. Kolejny korek na drodze i kolejny dumny pomysł na obejście. Jarek po długiej walce przechodzi przez dziwne przewieszzone zacięcie – starą drogą hakową, której nie ma na schemacie. Po tych perypetiach wciąg w dobrych nastrojach, pukając się po głowie zjeżdżamy na dół „pouczeni” przez ściane.

Po paru dniach niezасłużonego odpoczywania ponownie wyjeżdżamy do góry. Tym razem decydujemy się wyjechać od strony włoskiej z Courmayer na Punta Hellbronner. Okazuje się to strzał w dziesiątkę. Dla wszystkich, którzy pragną wspinać się na ścianach

satelitów Mt. Blanc di Tacqul najlepszym rozwiązaniem jest udać się od strony włoskiej. Podejście pod GC z kolejki zajmuje nieco ponad godzinę. Dużo bardziej odpowiadała nam również atmosfera Courmayer – bardziej kameralna i spokojniejsza niż w Chamonix.

Tego samego dnia po szybkim rozbiciu bazy decydujemy się z Jarkiem na „krótkie i łatwe” *O sole Mio*. Niestety warunki tego dnia gwałtownie się pogarszają. Od początku wspinamy się w zimnie. Ciężko jest rozgrzać kończyny. Porwiste podmuchy wiatru dają w kość. Wspinam się po rysie za 6b+ nie czując stóp. Zaraz po kluczowym miejscu niespodziewanie wyjeżdża mi skostniała noga z klinowania. Lecę parę metrów i zatrzymuję się na frendzie. Ze zdziwieniem rozmasowuję palce zastanawiając się jak można wyjechać z zaklinowaną stopą w rysie. Dokańczam wyciąg. 50 metrów czujnego wspinania w rysie. Spoglądam ze stanowiska na Jarka i widzę, że ma dość. Asekuje mnie w wyeksponowanym wiszącym stanowisku. Jest kompletnie przewiany i zmarznięty. Decydujemy się na wycof. Wieczorem rozgrzewamy się rumem z nadzieją myśląc o nadchodzących dniach dobrej pogody.

Upatrzona „Podróże Guliwera” postanawiamy zaatakować dzień później po reście. Przechodzimy pierwsze 3 wyciągi z Elixra i dochodzimy do póły startowej. Chwile zajmuje mi odnalezienie właściwego stanowiska. Przechodzę dosyć wymagające 6a, później Jarek przechodzi płytowe 6c+. Pierwszy trudny wyciąg z ewentualnym wahadłem A0 przypada mi. Po dojściu trawersem rysą w podchwytach wchodzę w wysięgowy pasaż. Udaje mi się zrobić od razu miejsce bez „azerowania”, niestety wyżej spadam z trudnego dulfra. Próbuję parę razy i zjeżdżam ze spita oddając pałeczki Jarkowi. Jarek nie bez problemów przechodzi flashem ten wyciąg zadowolony podsumowując, że to najtrudniejsza rzecz jaką w górach robił. Kolejne wyciągi to ciekawa wspinaczka do 6c praktycznie cała na własnej asekuracji. Momentami mamy problemy z interpretacją schematu Pioli i wątpliwości co do przebiegu linii. Dochodzimy do kolejnego miejsca z wahadłem. Tym razem Jarek zaczyna. Na starcie wycenionym za 7a bez wahadła jest czujny bulder po mikrokrawądkach z wejściem daleko w plecy. Jarzyn już mocno zmęczony rezygnuje po kilku próbach. Widząc jego walkę nie liczę, że uda mi się zrobić ten wyciąg bez wahadła. O dziwo balder nie sprawia mi problemów. Po 30 metrach dochodzę do spita z karabinkiem, który musimy chyba wprawiać każdego kto dochodzi do tego miejsca w konsternację. Szczęśliwy zdaje sobie sprawę, że to koniec trudności. Jeszcze tylko obligatoryjne wahadło i jestem na stanowisku. Końcowe 3 wyciągi biorę na siebie, bo Jarek jest już mocno zmęczony, a na dodatek pęka mu skóra na opuszkach. Po 18- tej jesteśmy na górze. Następnego dnia nie było mowy o wspinaniu. Zmęczeni jeszcze po wczorajszym dniu składamy namioty i wracamy na dół obserwując jak zmienia się pogoda nieomylnie prorokując zapowiadane burze.



Alpejskie lato (fot. Maciej Dziedzic)



Za trzecim razem pod Kapucyna trafiamy po niespełna tygodniu. Tym razem Marcin i Konrad liczą na atak. Zapowiadana pogoda i spory zapas żywności pozwala nam zostać na lodowcu przez kilka tygodni o ile zespołowi Big Wall Project nie powiedzie się już w pierwszym dniu. Niestety Jarek postanawia zostać na dole, a na jego miejsce bez problemu udaje mi się namówić się Piotrka Bunscha.

Pada pomysł przejścia *L'écho des alpages*. Linia drogi w dolnej partii jest nieewidentna. Trudno odnaleźć start. Kolejny raz daję się zwieść ścianie i zaczynamy 10

metrów w prawo od naszej lini. Orientując się, że nie możemy zlokalizować przebiegu echa decydujemy się na klasyk ściany czyli Drogę *Bonattiego*. Dochodzimy dziwnym 3 wyciągowym wariantem do półki, z której włoski wspinacz zaczął hakówkę. Zamiast udać się za winkiel i zacząć drogę łatwym zacięciem, Piotrek robi wariant wyceniony za 7a z przekonaniem, że idzie na piątkowe zacięcie. Dalej wiodą nas haki. Na wyciągu za 6c+ wyjeżdżam z mokrego chwytu i oddaje prowadzenie partnerowi. Piotrek robi go flashem. Następnie przez 40 minut szukam startu do wyciągu, lawirując nerwowo między półkami. W końcu udaje się znaleźć słynne zacięcie w kształcie litery s. Jest to moim zdaniem zdecydowanie najpiękniejsza części drogi. Pozostałe wyciągi prowadzimy naprzemiennie i z ogromną satysfakcją dosyć późno jesteśmy na szczycie. W międzyczasie spotykamy naszych kompanów, którzy z radością chwalą się nam sukcesem na Voie Petit. Tego wieczoru zerujemy nasze zapasy alkoholu w poczuciu wspinaczkowego spełnienia.



Pod szczytem Aguille di Midi (fot. M. Dziedzic)



Panowie Bonatti i Ghigo ;- ) (fot. M. Dziedzic)

2 dni później po sesjach fotograficznych na Voie Petit decydujemy się zjechać na dół. Z niedosytem wspinaczkowym opuszczam Alpy w nadziei, że powspinam się w Wilder Kaiser. Okazuje się jednak, że dane mi będzie wspiąć się tylko raz. Namawiam Konrada, aby wybrał się ze mną na *Prinzessin der Morgenröte* 8+ 230 m. Niestety od samego początku mam mieszane uczucia co do jakości skały. Jest bardzo krucho, a droga wygląda na mocno zapuszczoną. Po pokonaniu 3 pierwszych wyciągów w trudnościach do VIII-, wchodzę w kluczowy wyciąg, który wygląda jakby miał się zaraz rozsypać. Odpadam z kawałkiem podchwytu. Podchodzę wyżej do zacięcia, które wygląda jak wyschnięty ściek. Tracę motywację uświadamiając sobie, że droga nie nadaje się do wspinaczki. Zjeżdżamy na dół.

Z wyjazdu alpejskiego przewiozłem 2 cenne i wartościowe przejścia i wiele cennego doświadczenia.

**Maciej Dziedzic, Jarosław Dudzik**

L'élisir d'Astaroth, 6c (pierwsze 3 wyciągi) i Le voyage selon Gulliver, 7a/a+ 1xA0, 460 m  
OS/FLASH

**Maciej Dziedzic, Piotr Bunsh**

*Bonatti-Ghigo* 6c+/7a 300 m (z wariantem dojściowym do półek w trudnościach za ok. 6a ,  
120 m)  
OS/FLASH

Maciej Dziedzic